NAUKA I ROZRYWKA

Dodatek bezpłatny do „Dziennika Bydgoskiego.“ Wychodzi co 2 tygodnie.

Nr. 14. | Bydgoszcz, niedziela 4 lipca 1909. | Rok II.

POD TORUNIEM.

Dokończenie.

Porucznik Białkowski, salutując, uczynił foremny zwrot na miejscu i miał się ku odejściu, gdy naraz przed jenerałem stanęła postać oryginalna oficera iście starej daty. Chudy i wysoki, jak tyka, mogący mieć lat blisko 60, z wąsami koloru konopi, zwiszającemi na ramiona, był uzbrojony w parę długich pistoletów i kirasyerski pałasz, z ostrogami przy butach, mimo, że należał do piechoty.

— Jenerale-komendancie, pozwól mi tej poczty honorowej — przemówił basem głębokim.

Woyczyński bystrym spojrzeniem zlustrował od stóp do głowy tę postać dziwaczną.

— Kto waćpan jesteś? — zapytał.

Śmiesznie długa postać oficera wyciągnęła się jeszcze bardziej.

— Dzięgowski, podporucznik pułku 5-go piechoty, jenerale! — wyrecytował zapytany.

Woyczyński, widząc przed sobą tę postać marsową, zdawał się wahać przez chwilę. Stojący obok Rutkowski podszepnął z cicha.

— Białkowski ma wyższą szarżę, jenerale...

Jenerał-komendant skinął głową.

— Masz waćpan słuszność. Porucznikowi Białkowskiemu należy pierwszeństwo — zwrócił się do Dzięgowskiego tonem kategorycznym.

— W takim razie podaję się na ochotnika — nie dając za wygraną, odezwał się Dzięgowski.

— Tego nie mogę nikomu zabronić — odrzekł jenerał.

Dzięgowski odsalutował, poczem zbliżył się do Białkowskiego.

— Idę pod waściną komendę, mości poruczniku — zameldował się służbiście.

W kilka minut potem dwie wyborowe kompanie pułku 12-go, mając na swem czele porucznika Białkowskiego, wychodziły z bramy ku Wiśle. Nieprzyjaciel, mając swe działa ustawione na pozycyi daleko wyższej, w tym momencie wywarł na obie kompanie ogień piekielny. Odrazu padło kikunastu ludzi. Nie tracąc ani chwili, Białkowski zakomenderował:

— Broń do ataku! Przez most biegiem!

Runęły szeregi naprzód, ile tchu było w piersiach, i w mgnieniu oka, śród waru kul, przebiegły całą długość mostu. Tam oczekiwał wsparcia nieustraszony Szembek, mając przy sobie niedobitków walecznych swych grenadyerów. Ruszono naprzód ławą, pierś przy piersi. Toruńskim ochotnikom, którzy dotychczas nie znali bitwy, ogniem błysnęły białka na widok bliskiego nieprzyjaciela. Dopadli ostatniego przęsła i, skacząc przez zerwane dyle, stanęły oko w oko z batalionami ćwiczonych Wołochów. Na oślep z furyą zajadłą, rymnęli bagnetami w te rzędy niewidzianego nigdy przedtem wroga, w ten szereg szerokich piersi, ze skrzyżowanemi na nich białemi pasami. Nie strzymali wołosi furyi natarcia i zostali odrzuceni na kroków kilkadziesiąt w tył od czoła mostu.

Wówczas porucznik Białkowski przystąpił do najgłówniejszego dzieła. Własnemi rękoma rozpalił tak zwane smolne wieńce. Zaczem, potrzebując kilkorga rąk do pomocy, krzyknął ku swoim:

— Bywaj mi który! Na ochotnika!

Z szeregu wyskoczyło dwu: kapral Mickiewicz i żołnierz Boruszewski. We trzech pod gradem kul austryackich, przypadły do nawpół rozebranego przęsła mostu. Tu śród najgroźniejszego niebezpieczeństwa, zdołali w krótkiej chwili na belki i dyle mostu nałożyć płonące wieńce. Ogień począł się szerzyć w momencie. Krwawe języki płomienia liznęły łapczywie tramy, uprzednio nasycone smołą, ogniste węże wraz oplotły swemi trawiącemi przeguby słupy, okręcone smołą. Całe przęsło w jednej chwili zostało objęte pożarem.

Wnet świeża kolumna austryacka, pod dowództwem pułkownika Bruscha, szefa sztabu jenerała Mohra, rzuca się do ataku, chcąc za wszelką cenę ocalić most od zniszczenia. Porucznik Białkowski przypuścił ją na kroków 50 i dopiero wówczas kazał swoim kompaniom dać ognia. Mimo celności strzałów, nieprzyjaciel, zagrzany przykładem dowódzcy, przyśpiesza kroku. Białkowski z rozpaczą w sercu spostrzega, że jego oddział jest zbyt nieliczny, aby wstrzymać i odrzucić świeżą kolumnę austryacką. Skuteczne wsparcie byłaby w stanie dać artylerya w szańcu na kępie, lecz baterya ta uparcie milczy.

Białkowski zdaje komendę Szembekowi, sam zaś wpada do szańca na kępie.

To stanowisko ma sobie poruczone pułkownik Mielżyński.

— Pułkowniku! — woła z desperacyą porucznik. Na miłość Boską skierujcie ogień bateryi na przyczółek. Inaczej nie wytrzymamy nieprzyjaciela!

Mielżyński niecierpliwie ramionami wzruszył.

— Dobryś sobie! Każesz strzelać — chyba powietrzem? Garści prochu, jednego pocisku niema w szańcu!

Istotnie, szańca na kępie nie opatrzono wczas amunicyą.

— Do dyabła z takim porządkiem! — zaklął pułkownik. — Ślę do miasta kuryera po kuryerze, — i wściekam się w tej norze! Gdyby Austryak wiedział, wybrałby nas ztąd jak szczurów — gołemi rękoma!

Białkowski na tak niespodziany zawód, zbladł śmiertelnie.

W tej chwili na moście głucho zadudniły furgony.

— Nareszcie!... — z głębi piersi odetchnął Mielżyński.

Za moment zielone jaszczyki stanęły w obrębie szańca.

— Zdejmować amunicyę z wozów, co tchu! — rozkazał pułkownik.

W tym momencie grad pocisków karabinowych i armatnich spadł na szaniec, nie wykończony i zbyt niski parapet nie dawał osłony dostatecznej wałom wewnętrznym szańca, z czego skorzystała artylerya austryacka, zasypując szaniec deszczem żelaza, w zamiarze wysadzenia w powietrze kesonów z amunicyą.

— Do wozów! — powtórzył rozkaz Mielżyński.

Rozkaz nie odniósł skutku. Zwoszczyki i kanonierzy pouciekali od worków z nabojami. Nikt, mimo rozkazu i groźby, nie kwapił się na śmierć niemal niechybną.

Każda chwila stanowiła o losie mostu i, co za tem idzie, o losie Torunia

Wówczas porucznik Białkowski jednym skokiem stanął na wozie. Oderwał i uniósł ciężkie, zielone wieko skrzyni, podparł je plecami i oburącz począł wyrzucać ładunki z jej wnętrza na ziemię. W moment uporał się z jednym wozem. Wówczas zeskoczył na ziemię w zamiarze wyładowania następnych. Lecz w tej chwili pułkownik Mielżyński uchwycił go mocno za ramię.

— Dosyć tego! — zawołał tonem, nie znoszącym uporu. — Nie pozwolę, abyś się dłużej, na takie niebezpieczeństwo eksponował. Patrz, wieko skrzyni przedziurawione, jak sito, a ciebie los szanował.

Jakóż, w wieku skrzyni świeciło trzynaście dziur od kul karabinowych i jedna od armatniego pocisku.

Mielżyński wskazał na swoją pierś, ozdobioną krzyżem złotym polskim.

— Będziesz miał waćpan tę samą dystynkcyę — z gorącem uznaniem do Białkowskiego przemówił.

Kanonierzy, zawstydzeni czynem tak niezwykłej odwagi, rzucili się bez komendy do nabijania dział. Porucznicy stanęli u celowników. Padły wyrazy komendy. Kanonierzy przytknęli lonty do zapałów. Działa odskoczyły w tył — i siedem grómów runęło w powietrze.

Rażona tą salwą atakująca kolumna zmieszała się i cofnęła bezładnie. Pułkownik Brusch pod ogniem kompanii polskich, zbiera ją, formuje szeregi w kolumnę i rzuca w ataku ponownym na przyczółek płonącego mostu.

W tym właśnie momencie, powracający pośpiesznie na swe stanowisko porucznik Białkowski spostrzega pierwsze szeregi piechurów austryackich przedzierających się przez płomień i odrzucające bagnetem jego kompanię od pierwszego przęsła. Waleczny pułkownik austryacki przewodzi kolumnie własną osobą, zagrzewając piechurów przykładem zuchwałego męztwa.

Na tę scenę krytyczną nadbiega Białkowski. Wyrywa szpadę i pokazuje nią cofających się żołnierzy, pragnąc powstrzymać tylko szeregi. Podnosi grzmiący głos ponad wrzawę walki, zachęcając swoich do wytrwania.

Wysiłek daremny! Tłoczące się zwartą ławą szeregi odpychają go w tył, unoszą wraz sobą wzdłuż wąskiego pomostu.

Naraz na przodzie ukazuje się wysoka postać podporucznika Dzięgowskiego. Zatrzymuje się przez moment sam jeden w środku mostu, zwrócony surową twarzą ku nieprzyjalowi. Tuż, tuż przed nim, z płomieni i dymu wynurzają się osmalone, dyszące mordem, twarze piechurów austryackich. Błyska groźnie fala stalowych bagnetów. Na przedzie, z szablą obnażoną w ręku, biegnie pułkownik Brusch.

Dzięgowski pali mu prosto w piersi ze swoich długich pistoletów.

Pierwszy szereg wstrzymuje się nad ciałem swego przeciwnika. Wszczyna się raptowny popłoch. Kolumna pierzcha z mostu. Żołnierze unoszą na ręku stygnące zwłoki swego dowódcy.

Pierzchającą bezładnie, kolumnę praży ogień siedmiu dział, ustawiona w szańcu na kępie.

Płomień trawi most, przęsło przy przęśle.

Po niejakim czasie zjawił się sztab-oficer austryacki, mający trębacza. Jest to parlamentarz. Ponieważ część strawionego przez ogień mostu już opadła, przeto z kępy wypływa na łódce oficer polski dla porozumienia się z parlamentarzem.

Generał Mohr, w imieniu arcyksięcia Ferdynanda, żądał natychmiastowego poddania Torunia, grożąc w razie uporu rozsypaniem miasta w gruzy.

Komendant Torunia, jenerał Woyczyński, tegoż dnia przez adjutanta placu, kapitana Luksa, odesłał odpowiedź odmowną i jaknajbardziej kategoryczną; kapitulacyi nie przyjmuje, bronić się będzie, poki choć jedna cegła, pozostanie na miejscu.

Ryknęły działa austryackie, wszczęła się gwałtowna kanonada ze wszystkich naraz bateryi. Odtąd w ciągu trzech dni grad bomb i pocisków leciał nieprzerwanie na szaniec na kępie, na twierdze i miasto. Spustoszenie szerzyło się wokrąg. Baterye polskie odpowia-

dały w miarę sił, garnizon stał pod bronią w noce i we dni.

* * *

Budził się świt.

Srebrno perłowa świetlistość powlokła obszary spokojnych toni. Na wschodzie zwolna zażegał się różowy brzask. Wstał przedranny powiew i zachwiał pękami suchego sitowia.

Trzciny szeleszczą...

Z szuwarów wysunęła się cicho łódka rybacka. Stary rybak, o włosach białych jak mleko, począł zwolna wiosłować, trzymając się ostrożnie pasma przybrzeżnych zarośli. Rozglądał się z trwogą, nasłuchując, czy nie usłyszy strzałów, które od kilku dni trzymały go zdala od ryborodnej toni.

Dźwięk żaden nie mącił niewysłowionej ciszy poranku.

Ośmielony rybak zaczął wiosłować dalej. Posuwał się zwolna w kierunku spalonego mostu i, opłynąwszy kępę trzcin, zdziwiony głęboką ciszą, ostrożnie wyjrzał na wybrzeże.

Jeszcze wczorajszego wieczoru obozowali tu austryacy.

Lecz brzeg nadbrzeżne błonia i cała płaska okolica, aż po daleki widnokrąg, była spokojna i pusta.

Hen, hen, zza odległej rubieży wychylało się słońce, zalewając blaskiem radosnym okrąg młodej, zieleniejącej ziemi.

Wówczas twarz starego rybaka rozpromieniła się jasnością, równą słońcu, odblaskiem wewnętrznego rozradowania. Stara pierś zachłysnęła się od nagłego przepływu uczuć wezbranych.

Stanął w swej łodzi w wyprostowanej postawie. Obrócił się ku uśpionemu na tamtym brzegu miasstu i, zwinąwszy drżące dłonie około ust, huknął z całej mocy:

— Hej, polacy, bywajcie! Austryaki uciekły. Niema żadnego!

Fala wciąż szemrze i pluska...

Stanisław Ostrowski.

Cud sztuki lekarskiej.

Pisma francuskie opisują obszernie nadzwyczajne operacye amerykańskiego chirurga dr. Carella. Opisy te opierają się na wykładzie słynnego francuskiego gynekologa prof. Pozziego, wygłoszonym w paryskiej Akademii medycznej (académie de médicine). Prof. Pozzi wrócił co dopiero z Ameryki. Badał on osobiście doświadczenia robione przez dr. Carella w instytucie Rockefellera w Nowym Jorku. Nazwisko prof. Pozziego daje rękojmię za prawdziwość ogłoszonych faktów.

Znana jest powieść angielska Wellsa: „wyspa dr. Moreau“. Powieść ta opisuje lekarza, który stwarza nowe zwierzęta. Stwory te powstają przez przenoszenie części jednego zwierzęcia na drugie. W ten sposób powstają półpsy, półświnie, półmałpy, półkonie, półcielęta itd.

Zdawałoby się, jakoby marzenie to ziścić się nie było mogło. A jednak zbliża się ono do urzeczywistnienia. Wynaleziono nowy sposób zszywania naczyni krwionośnych nadzwyczaj cienkiemi nitkami i igłami. I udało się dr. Carellowi przy pomocy najstaranniej zastósowanych środków przeciwgnilnych: naszyć na zranione naczynia krwionośne zwierząt część takichże naczyń z innych zwierząt.

Dr. Carrel — co nieomal jest jeszcze ważniejsze — wynalazł sposób do przechowania (zakonserwowania) części potrzebnych do naszycia. Wyjęte części różnych tkanek z żyjących lub co dopiero zabitych wymywał w odpowiednim płynie — w roczczynie Lockego — i chował w sterylizowanych (wyparzonych) rurkach szklannych. Rurki te natychmiast zalutowano i zamykano w szafach lodowych. Po 10 miesiącach na przechowywanych w ten sposób naczyniach krwionośnych nie można było gołem okiem dojrzeć żadnej zmiany, a za pomocą powiększającego (mikroskopu) tylko bardzo małą.

Tętnica z głowy świni okazała się po 6 miesiącach takiego przechowania, mimo badania mikroskopijnego, zupełnie niezmieniona.

Zaraz wykażemy, jakie znaczenie ten sposób przechowywania mieć będzie dla operacyi w przyszłości, które zapowiada dr. Carrel. Za przykładem innych wznowił dr. Carrel próby przenoszenia naczyń krwionośnych nietylko pomiędzy zwierzętami jednego i tego samego gatunku, ale także próby przenoszenia członków i wewnętrznych części (organów = narządów) pomiędzy zwierzętami różnego gatunku. I udawały się operatorowi (chirurgowi) amerykańskiemu przenieść uszy, gruczoły tarczowe, nerki i śledzionę z jednego ciała zwierzęcego do innego, tak że w tem nowem ciele sprawowały swe czynności prawidłowo. Dalej wycinał on śledzionę albo nerki, naszywał je z powrotem do tego samego ciała i czynność ich była prawidłowa. Po tych udanych próbach mógł dr. Carrel przystąpić do przenoszenia całych członków. I to mu się udawało.

Dr. Carrel uciął małemu psiaczkowi lewą tylną nogą tuż przy kolanie. W miejscu ujętej przystawił odpowiednią część tej samej nogi z innego niedawno przedtem zabitego psa. Noga ta przechowana była sposobem roczczynu Lockego. Carrel zszył mięśnie, nerwy i naczynia krwionośne. Obieg krwi nastąpił natychmiast. Zacięcie przyszytej nogi między drugim a trzecim pazurem spowodowało krwawienie jak u psa zdrowego. Pies szybko wyzdrowiał, tylko temperatura w przyszytej nodze była z początku daleko wyższa aniżeli w reszcie ciała. Zacięcie w przyszytej nodze szybko się zarosło. Dowód, że przyszyta noga odzyskała swoją żywotność. Nowa noga wkrótce tak wyglądała i tę samą miała temperaturę co inne. 20 dni po operacyi pies zdechł na zapalenie płuc. Sekcya dowiodła, że tkanki w miejscu naszytem zupełnie się zrosły.

Czyżby się to, co się z psem udało, nie miało udać z człowiekiem? W zasadzie — tak brzmi oświadczenie dr. Carella — przeniesienie

członków albo jakiej części wewnętrznej z człowieka, który umarł gwałtowną śmiercią, w człowieka żywego jest zupełnie możliwe. Tymczasem jednakże dr. Carrel robi dalsze doświadczenia na zwierzętach. Prof. Pozzi przestrzegał także w Paryżu, ażeby do wiadomości przezeń przywiezionych z za Oceanu od razu zbyt wielkich nie przywięzywano nadziei.

Pomimo wszystkiego — piszą pisma francuskie — istnieje przecież możliwość, że od pewnego dnia w klinikach i szpitalach przechowywane będą sposobem Carrela ręce i nogi, nerki i żołądki straconych, samobójców, lub innych nieszczęśliwych po to, ażeby w razie potrzeby wszyć je takim żywym, którym odnośne części zostały wycięte.

Dziś wzdryga się człowiek na samą myśl o podobnej operacyi. A jednak, czy człowiek, któremu nogę odcięto, albo który choruje nieuleczalnie na jaką wewnętrzną część ciała, nie będzie wolał chodzić z nogą samobójcy jak o kuli, albo z nerką przejechanego jak umrzeć niezadługo?...

Szambelańska przygoda.

Pruskie rządy w Warszawie pozostawiły po sobie to wspomnienie, że wprowadziły ład i porządek w administracyi i sądownictwie, a miliony grosza polskiego w postaci kontrybucyi i podatków wywiozły z kraju. Ale dopóki pszenica szła do Gdańska, a za nią wracały okrągłe dukaty, od tego były okrągłe, aby się kulać po zielonych stolikach. Warszawa hulała. Złota młodzież grała, piła i adorowała damy.

Ten i ów, synowie lub wnukowie konfederatów barskich, to, co było najszlachetniejszego w kraju, wymykali się do legionów i ginęli od kul włoskich, od wyziewów wyspy śmierci, San Domingo; kostniejące w zimnej febrze pod żarem zwrotnika palce zrywały gorączkowo z wychudłej piersi ryngraf, zdjęty ze zbroi ojców po ostatnią modlitwę, bezczeszczoną szyderstwem konającego obok wolteryanina. Tysiące lat spoglądały na nich ze szczytu piramid, dziwiąc się: czego tu chcecie — obcy? A korsykanin kładł ich, jak kładzie żniwiarz snop po snopie, na podnóże swej chwale. Lecz ginęli, wierząc, że giną za nią, za ojczyznę.

A inni się bawili. Książę Józef gnuśniał jeszcze w objęciach Vaubanki, cierpiąc pod opinią, karzącą go za winy stryja — króla.

Pod Blachą wokoło pięknej zawsze pani de Vauban w kostyumie plisowanym koloru jej słynnych szmaragdów snuł się rój mężczyzn. Kobiet było kilka zaledwie. Znana ze swych sympatyi do rodu męskiego i z nieobwijania prawdy w bawełnę, Szczęśniesia, w przejrzystej sukni „Directoire“, od dołu nie zasłaniającej pięknie utoczonych nóżek, a od góry odsłaniającej wszystko, jakaś kuzynka Vaubanki, miniaturowa, wesoła Francuska o sprytnych oczach, starsza, czarno ubrana dama z córką, których nikt nie znał, dalej węgierska baronowa von Faller, wysoka, tęga, o wypukłych kształtach pod różową, grecką draperyą, z laseczką w ręku. Koło niej najwięcej kupiły się różnokolorowe fraki, na białych żabotach błyszczały brylanty, które ongi lśniły u kit z czaplich piór.

Na środku pierwszego saloniku, wpatrzony przez lorgnon w obfite wdzięki baronowej, z miną trochę niezadowoloną, bo jego szumny frazes powitalny utonął w ogólnym gwarze, stał szeroko oparty na nogach, niskiego wzrostu, ale wyprostowany, wypięty, w kusym liliowym fraku, szambelan Starzewski. Milej byłby wdział na siebie zielony mundur przyjacielski zaufanych z pod Blachy, ale Pepi towarzystwo birbantá tolerował, do poufałości nie dopuszczał. Uderzenie wachlarzem w plecy przerwało kontemplacyę wpatrzonego.

— Cóż, szambelańsiu — śmiała się Szczęśniewska — podoba ci się Walentyna?

— Pierwsza piękność!

— No, trochę „pasée“ — jak mój kochany szambelan. Lewy wąs dziś niedociemniony — i śmiejąc się, poszła dalej.

Mimowolny ruch ręki szambelana do wąsa wskazał, że złośliwa indagatorka nie chybiła. Lube wąsy, jako dwadzieścia lat młodsze od włosów, u szambelana, dobiegającego sześćdziesiątki, niekoniecznie potrzebowały być bielszemi od śniegu, jednakże krucza czerń jednych i drugich zbyt odstawała od wieku, zarówno jak pretensye ich właściciela od roli zawsze zwycięskiego lowelasa.

Młody, bezwąsy jeszcze chłopiec, bardzo przystojny, o poważnej twarzy, przechylił się do niego z zapytaniem:

— Czy stryj myśli, że marszałek Machowski będzie u księcia? Takbym rad mu się prezentować!

— Eh, Małachowski... co mi tam Małachowski! — dziś żadna figura, — a naszego księcia lepiejby na konspiracye nie namawiał! Zresztą później, kochanku, ja tu mam inne afery — i lawirując, zaczynając się zbliżać do baronowej Walentyny.

Młodzian, pozostawiony sobie, w obcem zupełnie towarzystwie, przesunął się do pokoju obok.

Tu, pod posążkiem Dyany, sama do Dyany podobna, z zadumą stepów ukraińskich w oczach czarnobrewa panna z matką stanowiły grupę opuszczoną.

— Imć pani chorążyna Starorypińska, panna Basia!

Na twarzach kobiet odmalowała się radość tych, którzy w tłumie nieznanym widzą nagle twarz znajomą, ale na surowem obliczu pani chorążyny ustąpiła zaraz miejsca niechęci, [illegible]ganie.

— Miło mi widzieć pana Cześnikowicza.

Wyrazy były przyjazne, ale ton suchy.

Piękna panna płonęła. Policzki zakwitły malinami, a chrapki noska zaczęły drgać niecierpliwie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Drukiem i nakładem Jana Teski w Bydgoszczy. Redaktor odpowiedzialny Jan Szmańda w Bydgoszczy.